PRAWDA

Pismo tygodniowe. *Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz. MAT. X, 34.*

Rok XXXIV Nr. 25. *Warszawa, 20 czerwca 1914.* Widok 3.

TREŚĆ: Między północą a zaraniem. — ORION: Echa Prawdy: — GROMICZ: Na gorącym uczynku. — Dr. W. ORŁOWSKI: Szkoła a społeczeństwo. — B. LIPKÓWNA: Harmonje i kontrasty. — AWICZ: Dzieje pewnego procesu. — M. DĄBROWSKA: Muzeum w Kaliszu. — J. PAPINI: Za co mnie kochasz? — MIECZYSŁAW LIMANOWSKI: Z teatru dla Teatru.

Między północą — a zaraniem.

1.

Wdzięczność należy się *Myśli Niepodległej* za to, że w jednym artykule zebrała wszystkie zarzuty, jakie gdziekolwiek i kiedykolwiek wysuwano przeciwko zaraniarzom; że je ujęła w formę krótką i zwięzłą, gdyż w takim dopiero ujęciu wyszła na jaw cała tych zarzutów kruchość i niemoc.

2.

Zaranie zostało przez kółko protektorów wzięte na garnuszek: oto pierwszy zarzut.

Materjał doń zaczerpnęła *Myśl Niepodległa*, jak sama powiada, z *Kurjera Porannego*. Dlaczegóż jednak poddała go trawestacji? Faktem jest, że wydawnictwo *Zarania*, będące uprzednio własnością jednego człowieka, stało się obecnie własnością grona osób. Atoli, stawiąc zarzut powyższy, *Myśl Niepodległa* pragnęła, mierząc w protektorów *Zarania*, trafić odskokiem pocisku — w samych Zaraniarzy.

«Chłopstwo zaraniarskie — czytamy — nie zdobyło się dotąd i to po tylu (!) latach na to, by utrzymać własny organ. Fundują mu go warszawscy panowie, aby zaraniarz mógł buńczucznie przeciwstawiać się wiejskim panom.»

Znowu plotka. *Zaranie*, mimo, że istnieje dopiero od lat kilku, pokrywa już dzisiaj koszty swego wydawnictwa w zupełności z prenumeraty chłopskiej. Nie żebrzą zaraniarze u nikogo jałmużny. Nikomu o jałmużnę się nie kłaniają, więc nie zasłużyli na to, aby ich w oczy z czyjejkolwiek strony kłuć wypominaniem rzekomych dobrodziejstw, zwłaszcza tych, których im nie dano posmakować.

Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że do utrzymania przy życiu pisma takiego, jak *Zaranie* wystarczają zasoby materjalne. Gdybyż tak było!... Niestety, każdy zaraniarz ponad cenę przedpłatniczą ponosić musi dla pisma swego koszty olbrzymie moralne, tak olbrzymie, iż cofa się przed nimi wszystko, co nie wytrzymuje próby wysokiego idealizmu. *Myśl Niepodległa* powinna wiedzieć, co znaczy walka z duchowieństwem: wszak jej redaktor przeszedł skroś ogień krzyżowy gromów pontyfikalnych. A przecież kary, jakie na jego spadły głowę, są rakietą bengalską w porównaniu z ciężarem gromowych ciosów, jakie walą się na głowy zaraniarzy. Biskup, w oczach redaktora *Myśli Niepodległej*, biskup-delator w jego oczach był pospolitym szubrawcem, gdy tenże biskup, denuncjujący zaraniarza, nie przestaje być dla tego ostatniego biskupem, pasterzem, władcą dusz. Zatarg z biskupem dla autora *Legend*, to tylko przykra w życiu przygoda. Zatarg z klerem dla chłopa to — druzgocząca życie tragedja.

Myśl Niepodległa tedy, ze wszystkich pism polskich, największe ma kwalifikacje po temu, aby zrozumieć dlaczego ruch zaraniarski rozwija się tak opornie i powoli, gdyż najwięcej w osobie redaktora swego od kleru wycierpiała. Czyżby jej te cierpienia nic nie powiedziały? Nic, prócz tego, że nadal bez-

piecznej będzie zatargów z klerem unikać, dłoń pojednawczą natomiast wyciągnąć do konserwatyzmu i pierwszą z brzega rękę uścisnąć, choćby to była prawa ręka... Jana Jeleńskiego?

3.

Ruch zaraniarski płynie korytem wązkim, to prawda, ale zato płynie korytem głębokim i czystym. *Myśl Niepodległa* podaje w wątpliwość siłę i czystość moralną ruchu zaraniarskiego z powodu, że koło niego «chodzą różni starzy kawalerowie, potrzebujący pilnie naprawy nietyle dobrze skrojonych fraków, ile reputacji». Porozumiejmy się: oddzielmy ruch ideowy od tych, którzy chcą na nim pasorzytować. I my bez zachwytu patrzyliśmy na obecność owych na zjeździe staszicowców «kawalerów» legji niezbyt honorowej, ale sądzimy, że kosztów ich moralnego deficytu nie należy w żadnym razie ściągać z zaraniarzy. Ktoby tak czynił, ten właśnie stawałby się mimowoli narzędziem i wspólnikiem tego pasorzytnictwa, które z każdego przedsięwzięcia ideowego uczynić pragnie swą ofiarę. Wszak wszelkim wątpliwym elementom właśnie chodzi o to, aby plamy ich reputacji roztopić w klarownym nurcie zespołu. Im o to chodzi; naszym zaś zadaniem jest, aby do tego nie dopuścić i oddać o każdej porze i na każdym miejscu *suum cuique*. Że tego rodzaju osobistości, o jakich wspomniano wyżej, zaczynają ciążyć ku zaraniarzom, że w potoku ich dążeń pragną myć swą reputację, to świadczy najlepiej, że ruch zaraniarski staje się siłą i że ta siła słynie czystością.

4.

Ale *Myśl Niepodległa* nie poprzestaje na dowodzeniu, że ruch zaraniarski jest słaby. Idąc za głosem konserwatystów, chciałaby dowieść że jest to ruch zbędny. «Nigdzie na świecie — powiada *Myśl Niepodległa* — w krajach ucywilizowanych niema chłopskich pism, ani chłopskich partji. To, co u nas jest, musi być uważane za stan przejściowy. Wmawianie w zaraniarstwo, że ono stanowi czynnik postępowy w stosunku do jakiegokolwiek naszego ugrupowania inteligenckiego, jest blagą, gdyż zaraniarz w swych najlepszych okazach jest najwyżej genjalnym karaibem».

W ustępie powyższym jest jedna uwaga słuszna, że nasza rzeczywistość obecna jest stanem przejściowym, i jeden frazes pusty, jakoby ktokolwiek wmawiał w zaraniarzy, iż stanowią oni czynnik postępowy w stosunku do ugrupowań inteligenckich. Nie! tego absurdu nikt w zaraniarzy nie wmawia! Czynnik postępowy stanowią oni nie w stosunku do jakiejś grupy inteligenckiej, ale do ogółu rzeszy włościańskiej. Poprzez czynnik postępu, jaki do życia wiejskiego wprowadzają, zaraniarze są właśnie tym żywiołem twórczym, który na jednostajnej i dotąd nieruchomej glebie włośćjaństwa zaszczepił pierwiastek zróżnicowań ideowych i politycznych, społecznych i kulturalnych. Dwór, plebanja i chata to były właśnie te trzy odwieczne składniki w archaicznej budowie wsi polskiej, poza które dopiero zaraniarze wykraczają dziś śmiałym ruchem na szerokie pole ugrupowań nowoczesnych. Oni to najpotężniej wieś naszą modernizują przez wyłamanie się z odwiecznie skostniałego koliska trójdziału: dziedzic, pleban i chłop. Stan obecny jest przejściowy: tak jest. Ale rozumieć trzeba, naczym owa przejściowość polega. W zakresie stosunków wiejskich, polega ona na tym, że chłop z formacji patrjarchalno-poddańczej, wobec dworu i plebanji, *przechodzi* do formacji obywatelskiej, wobec dworu i plebancji niezależnej. Nigdzie na świecie niema «chłopskich» pism ani «chłopskich» partji: zgoda! Ale właśnie z tego stanowiska krajów ucywilizowanych na korzyść *Zarania* zauważyć powinniśmy, że gdy wszystkie inne pisma ludowe chcą być pismami poprostu chłopskimi, ono jedno stało się pismem chłopskim *postępowym*. A więc ono jedno wzniosło się na ów poziom krajów ucywilizowanych, w których nazwa «chłop» nie jest żadną kwalifikacją człowieka, nic jeszcze o człowieku nie mówi. Prawi się o tym, że *Zaranie* chłopa przeciwstawia szlachcie: fałsz wydystylowany z łez dworskiej rezydentki! Chłopa przeciwstawił szlachcie nie Malinowski, ale przeciwstawiła go historja polska, i przeciwieństwo to przekazała nam w spuściźnie, jako zagadnienie, które pilnego domaga się rozwiązania. *Zaranie* na tę przeciwstawność nie zamyka oczu, ale czyn jego własny leży gdzieindziej: *Zaranie* — c h ł o p a

przeciwstawiło chłopu, oto gdzie leży jego zasługa. *Zaranie* sprawiło, że, gdy dotychczas na charakterystykę chłopa składały się różnice, dzielące go od świata szlachty, wogóle od świata inteligencji, to dzisiaj już, by oblicze jego określić, te rodzajowe różnice nie wystarczają: trzeba już dzisiaj chwytać różnice gatunkowe oraz osobnicze.

Cóż to znaczy? To znaczy, że chłop przestał być zjawiskiem przyrody, a stał się czynnikiem społecznym. Przestaje być materjałem i przedmiotem polityki, natomiast zaczyna być działaczem i ośrodkiem politycznym. *Zaranie* z bezwładnego morza psychy ludowej podniosło i w bieg postępowy pchnęło jedną falę: i oto wokół drgać poczęły natychmiast fale inne: dzięki zarysowaniu się fali antyklerykalnej, wyodrębniła się niezwłocznie fala klerykalna; poruszenie się żywiołu postępowego oświeciło kontrastem żywioły zachowawcze. Gdy pewien odłam włościan stanął przy *Zaraniu*, odłam inny tym mocniej, gdyż świadomie już i celowo, stanął przy kruchcie kościelnej. W ten sposób ogół włościaństwa, dzięki *Zaraniu*, idąc drogą różnicowań, posuwa się zarazem drogą cywilizacji. Jedni na tej drodze powiększają grono przeciwników klerykalizmu, drudzy stają w szeregu jego obrońców, gdy tymczasem dawniej wszyscy pospołu byli tylko żerem dla klerykalizmu.

5.

Myśl Niepodległa obawia się dla ruchu zaraniarskiego losów stapińszczyzny. Dlaczegóż tedy pcha zaraniarzy w objęcia Centralnego Tow. Rolniczego? Nie wierząc w apostolstwo idei, czemuż głosi wiarę w apostolstwo kapitału? Kółka Staszicowskie są rzeczywiście uboższe, niż kółka C. Tow. Rolniczego: ale cóż stąd? Czy o doniosłości ruchów społecznych rozstrzyga wielkość kapitału zakładowego? Skoro tak, to na podstawie jakiego kapitału wszczął się chrystjanizm? Rzecz szczególna: *Myśl Niepodległa* zarzuca ludowi polskiemu «chamstwo», zarzuca mu «grubość sumienia», zarzuca mu «że chce na rozmaitych ideologjach narodowych przedewszystkim zarobić», a jednocześnie piętnuje zaraniarzy za to, że nie chcą iść na żołd do bogatszych od siebie. Jak to zrozumieć? Jeżeli weźmiesz pieniądze, toś cham. Jeżeli nie weźmiesz, toś głupiec! A przytym *Myśl Niepodległa* zdradza się z zupełną nierozpoznawczością, gdzie leżą źródła stapińszczyzny, a gdzie jej ujścia, skoro lud do posażnej przyrównywa jedynaczki, do jedynaczki posażnej i przebierającej wybrednie w konkurentach. Cóż to za posag miał Stapiński? Jeśli miał posag, to czemuż sprzedał się Długoszowi? Zali ten się sprzedaje kto jest posażny? Nie! Nie Stapińskiego z jego partją, ale raczej Długosza do posażnej a wszetecznej przyrównać należałoby dziewki, która za swoje albo i za rządowe guldeny kupuje cnotę i dziewictwo chłopa, jak ongi kupowano jego pot i jego krew. Długosz brał pieniądze od rządu; Stapiński brał — od Długosza: żadnemu z nich nie wyszło to na dobre. A cóż zaleca, na naszym gruncie, *Myśl Niepodległa?* Zaleca zaraniarzom brać pieniądze od C. Tow. Rolniczego. To prawda, że pieniądze tutaj nie szłyby na cele polityki. Ale czyż *Myśl Niepodległa* tak jest naiwna, by wierzyć, że od kogokolwiek brać można pieniądze, nie zaciągając jednocześnie wzamian żadnych zobowiązań?

Czy jest pewna, że szlachta, dając pieniądze zaraniarzom, nie uzależniłaby ich od siebie? Że nigdy nie przedstawiłaby im żadnych do spłacenia obligów? Gdybyż jeszcze C. T. Rolnicze było pełnowładnym gospodarzem swych funduszów: ale przecież ono samo zasilane jest kapitałem z zewnątrz; samo żyje cieniem łaski; czymże tedy żyliby zaraniarze? Cieniem cienia?...

6.

Gdy ruch zaraniarski, w stosunku do szlachty i duchowieństwa, różnicuje fizjognomję chłopa w kierunku wytworzenia samorodnej indywidualności, inny być musi stosunek jego do Żydów: tu już nie chodzi o krystalizację osobowości, tu rozegrać się musi walka o byt. Rozwój chłopa, jako posiadacza drobnego, iść może równolegle z rozwojem gospodarczym i kulturalnym szlachty: owszem, te dwa procesy rozwoju nawzajem wspierać się będą i uzupełniać. Są to bowiem dwa samoistne systematy pracy wytwórczej. Żydzi na-

tomiast są elementem, pasorzytującym na obu pomienionych systematach pracy, a ponadto jeszcze i na antagoniźmie, zachodzącym między nimi. Każdy przyrost samowiedzy i samodzielności w chłopie staje się pomniejszeniem pola wyzysku dla Żydów. Jest to konieczność dziejowa i napróżno apostołowie przymierza wilków z barankami usiłują zasłaniać przed nią oczy chustami pacyfizmu. Między ofiarą rabunku a rabusiem nie może być pokoju, choćby sam rabunek przybierał formy jaknajbardziej pokojowe. Ruch zaraniarski, w samej istocie swojej, budząc przedsiębiorczość w chłopie, samorzutność i sił własnych poczucie, zwraca się przeciwko żydostwu. *Myśl Niepodległa* zarzuca *Zaraniu* «pobłażliwość dla Żydów». Na dowód zaś przytacza wiadomość, jaką *Zaranie* podało na swych łamach o losach *Gazety Białostockiej*. Istotnie, wiadomość ta, usuwając poza nawias ohydę naganki żydowskiej i kładąc wyłączny nacisk na ujemne strony tamecznej agitacji endeckiej, grzeszyła niedokładnością. Nasze spory partyjne załatwiać powinniśmy na terenie wewnętrznym. Tam gdzie wróg nas jako Polaków napada, przeciwko napaści bronić się winniśmy, jako Polacy; jakiż to wstyd dopuścić, aby wróg stawał się rozjemcą naszych przekonań, lub, co gorsza, przekonań naszych sędzią! Ta wiadomość, w postaci takiej, w jakiej ukazała się w *Zaraniu*, była jednak sprzeczna z treścią wewnętrzną zaraniarstwa i bynajmniej dla charakteru pisma nie znamienna: była naleciałością chwilową, nie zaś składnikiem zasadniczym. Jako naleciałość omknie się ona i spłynie z powierzchni zaraniarstwa, nie pozostawiając na nim śladu, jak również śladu nie pozostawi na nim pan St. Patek, którego wybór na przewodniczącego w drugim dniu obrad staszicowskich za taką samą naleciałość chwilową i niefortunną uważamy. Ruch zaraniarski powstał nie z magicznego zaklęcia kilku jednostek, ale z głębokiej wewnętrznej potrzeby społecznej ludu. *Zaranie* jest tylko platformą, na której potrzeba owa szuka dla się środków zaspokojenia. *Zaranie* jest dziś już dziełem własnym ludu, i niema w jego budowie dzisiaj ani jednej cegły, którąby nie nosiła na sobie odcisku chłopskiej dłoni i wizerunku chłopskiej duszy. Ci nieliczni panowie Krzątalscy, którym *Myśl Niepodległa* tak przesadne przypisuje znaczenie, nie są w budowie zaraniarstwa cegłami, ale raczej chorągiewką na dachu, którą pierwszy podmuch zmiecie i odrzuci.

7.

Wszystkie zarzuty powyższe przeciwko *Zaraniu* wyrażone zostały przez *Myśl Niepodległą* w tonie tak mało wytwornym, że sam autor uczuł się formą ich zażenowany: pod koniec, niejako, tłomaczy się z tego, mówiąc: «Surowemu chłopstwu trzeba prawdę rznąć prosto z mostu». Ta wymówka, także nadmiarem elegancji nie grzesząca, napawa nas zdumieniem. Albowiem autor, który wymówką tego rodzaju rozgrzesza wszelkie w polemice chamstwo, sam jednocześnie oskarża innych, że postępowaniem swym dają «glejt ideowy demokracji chamskiej». Czyżby u *Myśli Niepodległej* względność znajdowało tylko chamstwo arystokratyczne?

8.

Niewiadomo, czemu o «chamstwo» oskarża się tylko zaraniarzy: jest ono przecież cechą wszelkich żywiołów, pozbawionych kultury i wychowania. Może dlatego właśnie, iż *Zaranie* najdonośniej rozbrzmiewa odgłosami walki z wszelkimi objawami chamstwa?

Gdyby nas bowiem zapytano, czym jest chamstwo chłopa, w swej istocie, odrzeklibyśmy: jest skamieniełiną dziedzicznej pokory, moralnym na duszy chłopa osadem wieków pańszczyźnianych. A owym to właśnie szczątkom i skamieniałościom psychiki pańszczyźnianej *Zaranie* śmiertelną wypowiedziało od pierwszego zeszytu walkę, wypowiedziało ją zuchwałym hasłem: sami sobie! Z łamów *Zarania* pierwszy w dziejach kultury polskiej padł głos, wołający, że chamstwo bywa nie tylko duszy ludzkiej upadkiem i krzywdą, ale jest przeciwko niej zniewagą i wyzwaniem! Że trzeba się z nim wziąć za bary w imię własnej godności i czci dla samego siebie. Tak! w imię szacunku dla samego siebie, nie zaś w imię tego, iżby dostąpić zaszczytu obcowania z panami, jak sądzi *Myśl Niepodległa*.

9.

Ta ostatnia, stając przed zjazdem kółek staszicowskich, pyta z powątpiewaniem: zara-

nie czy północ? I, na zegar własny spoglądając, odpowiada: północ! dopiero północ! stwierdzając tą odpowiedzią różnicę dobrych kilku godzin historycznych, o jakie w tyle za ruchem zaraniarskim, wraz z całym obozem zachowawczym, została. Ale bodaj nic tak różnicy owej nie znamionuje ani określa, jak powyższa różnica w zapatrywaniach na emancypację duszy ludowej z pęt barbarzyństwa i chamstwa. *Myśl Niepodległa* wierzy w skuteczność tresury zewnętrznej i pragnęłaby chłopa wyzwolić ze skóry chamstwa tak, jak pogromca zwierzę wyprowadza z klatki: chciałaby wyzwolin dokonać batem.

Zaranie natomiast wierzy w siłę samorzutnej, od wnętrza dojrzewającej w duchu, godności i dumy. Ścierają się tu ze sobą dwa typy wychowawcze: typ koszarowy i typ społeczny. Pierwszy odwołuje się do pokory, drugi do dumy ludzkiej. Pierwszy opiera się na pierwiastkach w duszy ludzkiej psich, drugi na pierwiastkach — boskich.

10.

Przekleństwo chamstwu! — woła *Myśl Niepodległa* w stronę zaraniarzy.

Ten okrzyk zapalczywy świadczy o tym, jak niewiele pismo to, które tyle miejsca dziejom religji poświęca, wyniosło wiedzy z dziejów chrystjanizmu; chrystjanizmu, który był jednym z największych wychowawców świata.

Owóż chrystjanizm powstał, jako potęga, mająca zubożyć możnych, zbogacić zaś nędzarzy. Pierwszym atoli słowem nowej ewangelji, pierwszym słowem, które niosło zapowiedź bogactwa, było co: *Precz z ubóstwem?* Nie. Pierwszym słowem było: *Błogosławieni ubodzy!...*

Cóż tym słowom przeciwstawi *Myśl Niepodległa?* «Familję»? — pięcioaktowy dramat, nagrodzony na konkursie *Kurjera Warszawskiego?*

Sienkiewicza? Ależ on, «znakomity nasz powieściopisarz i obywatel», całą sztuką swą i twórczością wyraża to samo, co *Zaranie* wyraża programem i kierunkiem: optymizm, tak zasadniczo sprzeczny z pesymizmem «Familji», cytowanej przez *Myśl Niepodległą*. Gdy autor «Familji» na przekroju duszy chłopskiej ukazał, jak nizko człowiek w złych okolicznościach upada, Sienkiewicz czyni rzecz mędrszą: pokazuje, ile, w okolicznościach najgorszych można z człowieka dobyć pierwiastków szlachetnych. Sienkiewicz «chamstwa» chłopskiego nie łaje, nie gromi; nie sądzi, że chłop, aby urósł w godności, «pokorniutko jeszcze i to przez długie lata brać pouczenia» musi: nie! Sienkiewicz rozwarł przed «chamem» świat dżentelmenerji; dał mu w rękę Trylogję: wydobył z chłopa łzę nad trupem Podbipięty i tą łzą duszę chłopską uszlachetnił, wzniósł i uczłowieczył, stokroć skuteczniej, niżby to uczynić mogły najsurowsze «pouczenia» *Myśli Niepodległej*.

Tak też czyni *Zaranie*: ozwało się do chłopa, jak równy do równego: nie z katedry przemawia, ani z kazalnicy, ale na chłopskie klepisko zeszło i — cóż? Zaledwie dano chłopu poznać smak równości, już sam rozmiarami niższości swej i upośledzenia swego się przeraził, zbuntował się przeciwko sam sobie, i buntem tym stanął ponad swoim «ja» wczorajszym, pańszczyznianym.

ORION.

Echa Prawdy.

I. Chłopi a szlachta. II. Posiew Jagiełły.

I. Stawiono zaraniarzom w prasie konserwatywnej zarzut, iż nie kochają szlachty.

Że zaraniarze są na ogół względem szlachty nieufni, temu przeczyć trudno. Nie świadczy to przecież o tym, iż kierują się uprzedzeniami w stosunku do niej, ale, że umieją z doświadczeń historji wysnuwać wnioski praktyczne. Nie mówimy tu o historji piastowsko-jagiellońskiej, ale o tej bieżącej, która na naszych kształtuje się oczach. W roku 1906 szlachta, w kadry narodowo-demokratyczne ujęta, wzbiła w wielu miejscowościach falę zapału patrjotycznego chłopów bardzo wysoko, ale czy go na tej wysokości potrafiła utrzymać? Zapał chłopski poprostu strwoniono lekkomyślnie, jak łatwą i niepotrzebną zdobycz. Ruch dźwignięty świętym imieniem ojczyzny skanalizowano w łożyska dworskiego interesu, a energję skupioną do wielkiego czynu rozbito na drobne strumyki polityki wyborczej. Dla zdobycia mandatu przez pana Chełchowskiego skazywano wsie całe i powiaty chłopskie na ofiarę... z wyznanej i pokochanej idei.

I chłopi żądaną ofiarę składali, aby panowie pójść mogli do Dumy i... tam podpisać się pod aktem wyodrębnienia Chełmszczyzny.

Nierychło, nierychło przyszło po fakcie zrozumienie tego faktu. Poprzez ból, poprzez krwawy wysiłek, nierychło chłopi zrozumieli że ich szczerość, że ich gotowość do poświęceń, że ich zaciekły upór, przy pańskim stole politycznym wygrano jako atut w kartach, a wygrawszy, ciśnięto niedbale na łup sromoty.

Dziwne-ż to, że odtąd chłopi niechętnie czynią szlachtę szafarzami swego entuzjazmu?

Nie znaczy to przecież, iżby zaraniarze szlachty nienawidzili. Oni tylko nie chcą się do niej upodobnić. Jest że to nienawiść? Tak mniemać mogą ludzie tępogłowi; ale ktokolwiek posiada iskrę zrozumienia dla zjawisk społecznych, ten wie, że miłość, zgoda i solidarność najsilniej ludzi różnicują między sobą: a co ich skuwa ogniwem podobieństwa, to — nienawiść. Wszystkie nacjonalizmy europejskie nienawidzą siebie nawzajem tak zażarcie, że z uczuć nienawiści uczyniły swe dusze: i cóż widzimy? Że jeden stanowi dosłowną kopję drugiego.

Im narody dzisiejsze bardziej siebie nienawidzą, tym potężniej siebie naśladują. Militarym współczesny czyż nie jest emanacją skrzyżowanych nawzajem nienawiści, rozdzierających Europę? A przecież on to zarazem na jej obliczu wyciska najpotężniejsze piętno podobieństwa wszech krajów do siebie.

Zgoda mnoży oryginały. Nienawiść mnoży kopje i plagjaty.

Kto więc zaraniarzom wyrzuca, że nie upodabniają się do szlachty, ten w gruncie ma żal do nich, iż z szlachtą pragną otrzymać zgodę, iż szlachty nie chcą nienawidzieć. Bo tylko za cenę nienawiści mogliby zrzecz się własnej osobistości na rzecz wzorów cudzych, skwitować z oryginału własnego na rzecz kopji cudzej.

Tak samo zaś jak zaciekłość współzawodnictwa prowadzi do podobieństwa między ludźmi, podobieństwo z natury rzeczy wyradza między ludźmi nierówność.

Gdyby wszyscy ludzie mieli oczy błękitne, to napewno nie byłoby na świecie dwóch par oczu o równej piękności błękitu. I tylko dzięki temu, że obok błękitnych bywają czarne, szare lub piwne, istnieć mogą obok siebie rozmaite typy oczu piękności równorzędnej.

Gdyby chłopi, miast indywidualizować swój typ na drogach samodzielnego rozwoju, naśladowali wzory szlacheckie, to zawsze byliby tylko szlachcicami drugiej lub trzeciej klasy: byliby niedonoszoną szlachtą, zgrają ekonomską, której przedsmak dają nam dzisiaj ci chłopi, którzy się w tresurze endeckiej ukształcili (exemplum: Nakonieczny!).

Cóż powiedzieć o inteligentach, dla których ten typ chłopa tresowanego jest ideałem chłopa? Cóż powiedzieć o tych, którzy, jak *Myśl Niepodległa*, jedyną rację odrębnego istnienia kółek staszicowskich chcą widzieć w tym, «iż chłopstwo, które nie wie, jak z panami zachować się w jednym towarzystwie, chce się wyodrębnić w osobny związek i tam nauczyć się żyć społecznie». Hodowla parwenjuszostwa, w powyższym punkcie widzenia, z przedmiotu zasłużonej ironji przechodzi w receptę pedagogji narodowej: *nauczyć się żyć społecznie* w myśl tej recepty znaczy *wiedzieć, jak z panami zachować się w jednym towarzystwie.*

Winszujemy tak bajecznego odkrycia *Myśli Niepodległej*: powinna je natychmiast wszakże opatentować, bo... inaczej gotowi się z nią o prawo autorskie posprzeczać... tancmistrze i kamerdynerzy.

II. Jako ilustrację do artykułu wstępnego, zamieszczonego w numerze zeszłym *Prawdy* przytoczyć należy fakt, o którym pisze *Przegląd Wileński:*

Oto, w warsztatach kolei Warszawsko-Wiedeńskiej robotnicy w zatargach z inżynierami, jak słychać, grożą skargami do władz naczelnych, wiedząc, iż te zawsze chętnie ich wysłuchają, by mieć powód usunięcia Polaka i zastąpienia go przez Rosjanina. Gdy zaś robotnikom zwracano uwagę na nielojalność ich postępowania, odpowiedzieli, że dla nich jest rzeczą obojętną narodowość «wyzyskiwaczy».

Są to owoce, jak słusznie zaznacza *Przegląd Wileński*, klasowego «uświadomienia», szerzonego gorliwie przez socjalną-demokrację z pod znaku «posła» Jagiełły.

GROMICZ.

Na gorącym uczynku.

Śród wszystkich narodów świata jeden tylko naród żydowski — naród najbardziej prześladowany — odczuł wielkość i niedolę świni: zdobył się na kult jej nietykalności. Ten naród, który zabijał swe proroki i krzyżował bogów, cofa się w trwodze świętej przed zabójstwem świni.

* * *

Sądzić się zwykło, że najtrwalszą postacią miłości jest miłość idealna. Tymczasem prawdziwym pętem żelaznym, skuwającym mężczyznę z kobietą na zawsze, bywają tylko zmysły.

* * *

Ostatnią ucieczką słabych i uciśnionych bywa siła: kiedyż to zrozumieją nasi ugodowcy?

Dr. W. ORŁOWSKI.

Szkoła — a społeczeństwo.

I.

Mija już dziewięć lat od czasu powstania szkoły polskiej, można więc i trzeba zastanowić się nad rolą, jaką odegrała ta szkoła w naszym życiu narodowym i kulturalnym w przeciągu tego czasu. Przedewszystkim, zaraz na wstępie trzeba stwierdzić fakt, godny ubolewania że dotychczas nie zorganizowano należycie pracy nauczycielskiej, nie stworzono instytucji, któraby stała na straży interesów zawodowych stanu nauczycielskiego, bo chyba Stowarzyszenie Nauczycieli rościć sobie pretensję do tego nie może. W istytucji tej panuje karygodne pod tym względem niedołęztwo i niechęć do uregulowania tej sprawy. Zdobycie lekcji przez nauczyciela tu w Warszawie lub na prowincji, zależy od przypadku, od szczęścia, od stosunków, znajomości, od tysiąca drobnych spraw, które w rachubę wchodzić nie powinny. Sprawę tę już niejednokrotnie podnoszono, nie chcę być jeszcze jednym głosem wołającym na puszczy, ale czas, aby sprawa o której mówię, znalazła silniejszy oddźwięk wśród społeczeństwa i młodzieży, która stworzyła tę właśnie szkołę polską ofiarą własnych losów i karjery życiowej. Oczywiście, nie mówię tu o wszystkich szkołach i o wszystkich kierownikach szkół polskich, z których pod nazwę zdecydowanych przedsiębiorców wielu jednak podciągnąć można. Nie taka nam się śniła szkoła polska, kiedy opuszczaliśmy mury uczelni dawnych, nie o sprawy finansowe tego lub innego przełożonego nam chodziło, ale chcieliśmy być tamą przeciw psuciu się ducha narodowego w dawnych uczelniach z przed r. 1905. I dziś my, warstwa nowa, świeża, gdy już przeszliśmy średnią i wyższą szkołę, mamy prawo żądać rewizji, otwarcia drzwi, i postawić pytanie: coście zrobili z dziełem rąk naszych? pokażcie nam owoce naszej pracy? My musimy zażądać rachunku: co uczyniono i czego nie uczyniono? Czy dobrze pojęto myśl i czyn nasz! Dość już artykułów wypowiadających krytykę półszeptem, z bojaźnią, połowicznie. Trzeba roztworzyć karty, trzeba zmusić społeczeństwo do zainteresowania się szkołą polską. A w pierwszym rzędzie niech się zajmą nią ci, którzy ją stworzyli.

Unikanie staranne wszelkich krytyk, tyczących się szkoły i nauczycielstwa polskiego, jest najwyższym złem.

W ten sposób zostawia się swobodne pole do działania, jak kto chce; krytyka i zainteresowanie publiczne jest tu konieczne. Ten szacunek i poważanie jakim się cieszy szkoła polska w społeczeństwie, gruntuje się głównie na tem, że jest ona szkołą polską. Uczą w niej po polsku, stała się więc czymś nietykalnym, drogim sercu każdego z nas. A przeto, że jest polską, że jest nam drogą, musimy dbać o to, by się nie zalągł w niej czerw, który toczyć ją będzie. Dziś szkoła ta nie ma kierunku, nie jest jednolita, nie ma przewodniego celu i programu. Otwarcie i jasno stawiając kwestję, nie jest kuźnicą ducha przyszłych pokoleń.

Bierność, niedołęstwo, senność i apatja powoli zaczyna coraz szersze zataczać kręgi w szkolnictwie polskim. Przykład idzie od góry, od przedsiębiorców, właścicieli szkół polskich: ci przedsiębiorcy angażują na gościnne występy nauczycieli, kasę robią uczniowie. Wędrowny bakałarz, bo takim jest nauczyciel prywatnej szkoły polskiej, musi sobie zdobyć sławę, reklamę, pozyskać panienki w szkole żeńskiej zręcznym opowiadaniem o Słowackim, musi zdobyć sobie sympatję przełożonych. Panie przełożone najlepiej potrafią reklamować, a wówczas kiedy ma już określoną liczbę godzin tygodniowo, rozpoczyna się proces przetrawiania, spoczęcia na laurach.

Pokażcie mi wy, którzy oburzeni będziecie moim artykułem, plon pracy naukowej nauczyciela szkoły polskiej. W Galicji rok rocznie każda szkoła ogłasza sprawozdanie, w którym musi być umieszczony jakiś referat naukowy jednego z nauczycieli tej szkoły.

Leży przedemną kilka sprawozdań szkolnych z Galicji. Oto sprawozdanie gimnazjum św. Anny w Krakowie: na czele drukowana rozprawa p. Jana Klimczyka p. t. „O listach do klasykow i romantyków Fr. Morawskiego“. Dalej sprawozdanie gimnazjum III w Krakowie, na wstępie dwa referaty nauczycieli tego gimnazjum: p. A. E. Balickiego p. t. „Czytanie i objaśnianie utworów lirycznych“ oraz Dr. Romana Jamrogiewicza referat p. t. „Autonomia szkolna“ nakoniec jeszcze jedno sprawozdanie dyrekcji gimnazjum VI-go we Lwowie za rok szkolny 1909/10 — z artykułem Dr. Franciszka Krčeka „Przyczynki do oceny krytycznej Monitora Bohomolcowego“. Takich sprawozdań rokrocznie jest setki, nie licząc książek i prac większych, jakimi poszczycić się może nauczycielstwo galicyjskie. W przeciągu dziewięciu lat istnienia szkoły polskiej jakoś głucho o dorobku naukowym nauczycielstwa polskiego. Reklamą jednak, jaką zdobył sobie w tym zawodzie poszczycić się może niejeden. Z tego przypadkowego zdobywania i obsadzania lekcji płynie zło; nikt nie wie, gdzie istotnie wakują lekcje, a gdzie nie wakują. Żadnych biuletynów pod tym wzglę

dem się nie ogłasza. Wszystko odbywa się po cichu, na swą rękę, przez przedsiębiorcę i przełożonego szkoły, który jako przedsiębiorca prywatny, nie potrzebuje zdawać sprawy nikomu z tego, kogo ma pominąć, kogo usunąć, kogo zaszczycić propozycją ofiarowanych lekcji. W ten sposób otwarta droga do nadużyć wszelkiego rodzaju. Tu w Warszawie znaleźć można nauczycieli zaledwie ze średnim wykształceniem posiadających nadmiar lekcji, obok nauczycieli z wyższym wykształceniem, którzy ich zdobyć nie mogą. Jak to już zaznaczyłem w poprzednim swoim artykule p. t. „Przestroga“ w *Prawdzie* — przyczyną tego stanu rzeczy jest nadmiar nauczycieli.

Wielu poszukuje lekcji—lekcji jednak niema. A jednak bynajmniej to nie dowodzi, że należy pozostawić tę sprawę nieuregulowaną. Trzeba koniecznie, i tego domagać się winni wszyscy nauczyciele, zupełnej jawności w obsadzaniu posad wakujących tu w Warszawie lub na prowincji.

Powinna powstać instytucja zupełnie niezależna od Stowarzyszenia lub Związku nauczycielskiego, w której składanoby wszystkie oferty chlebodawców i pracowników, gdzieby można się dowiedzieć o wakujących posadach, poza pośrednictwem *Kurjera Warszawskiego*.

Uregulowanie tych interesów zawodowych nauczycielstwa polskiego może być dopiero rękojmią pożytecznej, naukowej, kulturalnej i narodowej pracy w szkole, która byłaby pod jakąś kontrolą społeczną, nie miejscem, w którym odbywają się gościnne występy nauczyciela. Nauczyciel w takim położeniu bezradny wobec warunków materjalnych, nie może przywiązać się do szkoły, pokochać jej, włożyć w nią całego zasobu energji ideowej — stać się wychowawcą i budowniczym duszy polskiej przyszłych obywateli kraju. Ze szkół polskich wychodzi też młodzież — bez kompasu i steru, bez przewodnich idei, wytwór przedsiębiorstwa prywatnego; dobrze, że wychodzi, z niektórych szkół z pewnym przygotowaniem naukowym, ale są szkoły gdzie jedynie szerzy się lenistwo, a poziom nauczanin jest bardzo nizki. Rozumie się, tyczy się to nie wszystkich szkół, ale tych mniejszych, mniej znanych z gorszym zespołem nauczycielskim uczelni. Kształci się obecnie w Warszawie we wszystkich szkołach prywatnych polskich męskich i żeńskich 17,039 młodzieży. Dwie trzecie najwyżej z tej liczby, otrzymają należyte przygotowanie naukowe. Co do kierunku i wychowania narodowego, to byliśmy świadkami niejednego zdarzenia, dowodzącego że na narodowe wyrobienie tej młodzieży jeszcze mniejszy kładziono nacisk.

B. LIPKÓWNA.

Harmonje i kontrasty.

1.

Między Sienkiewiczem a Żeromskim zachodzi taka różnica, jaka dzieli szlachcica, kwitnącego na zasobnej fortunie, od bezdomnego szlachcica — tułacza, marzącego o dworze swoim, jak o «tamtym świecie».

2.

Kobieta Sienkiewicza — to przynależność dobrobytu szlacheckiego; panna ze dworu dla Żeromskiego — to wspomnienie z raju utraconego, zjawisko nieziemskie prawie, otchłań rozkoszy daremnie pożądanej i tęsknionej.

3.

Świat Przybyszewskiego — to wir złowrogi, krater wulkanu. Piekielny niepokój duszy grzesznika katolickiego przy antycznej prostocie zagadnień moralnych.

Nigdzie w literaturze naszej stosunek człowieka do człowieka nie jest tak bezpośredni i głęboki.

4.

Treścią i katechizmową prostotą zagadnień Przybyszewski zbliża się najbardziej do Wyspiańskiego.

Ale są i różnice olbrzymie.

Wyspiański nawet w najbardziej chrześcijańskich konfliktach pozostaje Grekiem, spokojnym przez wiarę w przeznaczenie.

U Wyspiańskiego zatarg ujawnia się na tle stosunku jednostki do ogółu.

Na Przybyszewskim odbił się niepokój sumienia barbarzyńców północnych: Tołstoja i Dostojewskiego, gdy Wyspiański zawsze pozostaje w ścisłej łączności z duszą starożytną, klasyczną — dlatego w najbardziej tragicznych momentach nie traci poczucia harmonji.

5.

Nareszcie i w naszej literaturze ukazują się cacka wytworne w stylu rokoko.

Faunessy M.-J. Walewskiej są dziełem twórczości świadomej.

Kryjaki — to próba okrutnego igrania z rzeczami nietykalnymi przez straszny jeszcze ból.

O wartość estetyczną tej próby możnaby spierać się, ale — śmiałość należy podziwiać.

6.

Jehanne Walewska i Leon Choromański usprawiedliwiają nasze pretensje do wykwintności europejskiej.

7.

Leon Choromański: Czy jest drugi, podobny jemu, mistrz marzenia?

8.

Pościg za słońcem L. Choromańskiego: królewski dar otrzymali wszyscy tęskniący i marzący wśród beznadziejnej spieki, wśród jałowej pustyni dnia codziennego w mieście.

9.

Choromański stwarza świat po raz drugi. Z nim oglądamy każdą rzecz niby rzadki, niezwykle cenny klejnot. Z nim swiat cały widzimy odbity w lśniącej miljonem świateł czarodziejskich rzece.

Indywidualność tego pisarza składa się z dwuch części: marzyciela i filozofa-szydercy, moralisty czasem.

Jest on poetą w tym wyższym, lepszym znaczeniu. Jest poetą, tworzącym świadomie. Nie jest ofiarą talentu, ale — panem.

Istnienie takiego zjawiska wśród nas, w tym kraju, na bruku warszawskim — jest dowodem niewyczerpanego bogactwa życia.

10.

Ostatni styl, w jakim budowała Polska niepodległa, styl jezuitów i epoki saskiej, pokutuje do dnia dzisiejszego w psychyce polskicj.

Estetyczne i literackie upodobania naszego szlachcica, myślenie inteligentnego motłochu, ponad tym zaś motłochem gwiazda Micińskiego — oto argumenty buntu przeciwko starszej, dojrzałej, z wysiłkiem zmartwychwstającej tradycji Renesansu polskiego i klasycznej klarowności pisarzy i artystów złotego wieku.

11.

Wiek XVII wycisnął niezatarte piętno na umysłowości polskiej. Przesądy tamtej epoki dziś jeszcze pokutują i dławią, głuszą wysiłki zdrowego rozumu i popędu do życia twórczego.

Rzekłbyś: na Polskę rzuciła czar złośliwa wróżka, i dotąd nie może naród ocknąć się z dręczącego snu odrętwienia.

12.

Płytki i krótkowzroczny starczy utylitaryzm — zamiast praktycznej orjentacji w życiu jednostek i ogółu.

Mdły sentymentalizm obok nieczułości na głębokie, tragiczne i tak strasznie rzeczywiste niedole nasze.

Skwapliwa gotowość pomagania i służenia obcym obok niedołęstwa i obojętności na swoje własne sprawy.

13.

Tragedje codzienne Papiniego — to rachunek sumienia współczesnego inteligenta-intelektualisty.

14.

U nas na intelektualizm narzekają najbardziej dekadenci, którzy nigdy myśleniem zbyt się nie fatygowali.

15.

Charakterystyczny rys literatury doby ostatniej — to bezpośrednio z głębi idący głos życia. Prawie nie śmiemy ubliżyć nazwą literatury utworom Papiniego, Kadena, Gide'a, Soffici'ego.

16.

Filozofja Bergsona, jak tyfus, odradzająco działa na tych, których gorączką swą dotyka.

17.

Twórczość Rygier Nałkowskiej jest świadomą stylizacją płytkości i bezmyślności w pozy hieratyczno-secesyjne.

18.

Rygier Nałkowska i Jehanne Walewska — organizacje podobne, lecz Nałkowska jest kulturalnie i artystycznie młodsza, mniej dojrzała i ciaśniejsza.

Nałkowska z rzeczy błahych robi tragedje, Walewska o tragedjach mówi, jak o drobnostkach. Nałkowska posiada tresurę kultury, Walewska — posiada rasę ducha.

AWICZ.

Dzieje pewnego procesu.

Najdonioślejszym wypadkiem w obecnym życiu politycznym Galicji był głośny proces działaczy rusofilskich przed lwowską ławą przysięgłych. Aby zrozumieć znaczenie jednomyślnego werdyktu ławy, trzeba uprzytomnić sobie linję rozwoju oskarżonego stronnictwa i życia politycznego Rusinów galicyjskich.

W przeciwstawieniu do narodów społecznie silniej zróżniczkowanych, nie posiadają Rusini podziału na partje wedle polityczno-społecznych programów, ale tworzą dwa kierunki wewnętrzne, słabo zróżniczkowane: ukraińską większość i rusofilską mniejszość.

Probierzem, który dzieli te kierunki i budzi taką wzajemną nienawiść, że przeciwnicy nie utrzymują między sobą nawet towarzyskich stosunków, jest problem, czy szczep małoruski tworzy odrębny naród, czy stanowi etnograficzną całość ze szczepem wielko- i białoruskim.

O wiele liczniejsze i bardziej demokratyczne stronnictwo ukraińskie, reprezentujące niejasną społecznie radykalną ideologję rusińskiej masy chłopskiej, odnosiło się zawsze do panującej w kraju większości polskiej z otwartą nienawiścią. Płynęła ona u mas chłopskich z poczucia krzywd, doznawanych od szlachetczyzny, i często bardzo samowolnej biurokracji, a czynniki te zrosły się w duszy ludu rusińskiego z pojęciem Polaka. Hasło „Za San z Polakami" — naczelna dewiza ukraińskiego stronnictwa—było dla wyrosłej z ludu inteligencji ukraińskiej programem usunięcia Polaków z piastowanych na wschodzie Galicji urzędów i zajęcia ich przez siebie. Jak długo nie miała ona nadziei dojścia do tego celu przy pomocy rządu centralnego, stanowiła ona czynnik społecznie radykalny i położyła znaczne zasługi w walce o powszechne prawo wyborcze do parlamentu. Stosunki zmieniły się, gdy rząd centralny, za pośrednictwem namiestnika Bobrzyńskiego, nawiązał kontakt z tą partją, spodziewając się przy jej pomocy uzyskać olbrzymie zdobycze terytorjalne dla siebie, a duchowe dla katolickiego kościoła.

Jaką rolę odegrał Berlin w tej zmianie frontu Wiednia i czy ewentualnie nie chodziło mu tylko o zadanie ciosu Polakom, trudno dziś powiedzieć. Dla Ukraińców oznaczała „ugoda polsko-rusińska" bynajmniej nie pokój z Polakami, ale tylko grób ich społecznego radykalizmu.

Partja rządowa par excellence, popierana gorąco przez najreakcyjniejsze żywioły „nieoficjalnego" rządu austrjackiego, musiała wybrać między opieką u góry, a popularnością u dołu, i wybrała pierwsze. Pierwszą ofiarą nowej orjentacji padła walka o demokratyzację sejmu. (Reforma wyborcza jest z tego punktu widzenia idealną: maximum mandatów ukraińskich, przy minimum rozszerzenia prawa wyborczego.) Poparcie Prus dla politycznych swych postulatów okupili Ukraińcy jeszcze drożej: sprzedaniem im za bezcen siły roboczej swego ludu, pomysł godny tych książątek niemieckich z przed lat 150, którzy sprzedawali swoich pańszczyźnianych poddanych jako rekrutów za Ocean.

Gdyby lud rusiński był zdolny do samodzielnej polityki, wytworzyłby się w nim samodzielny ruch, któryby ręka w rękę z radykalnymi (dziś, niestety, zdezorganizowanymi) żywiołami polskimi podjął walkę klasową, chłopską, jedyną możliwą w kraju tak wybitnie agrarnym, jak Galicją. Ponieważ jednak uświadomienie tego ludu stoi o wiele niżej od polskiego, skorzystali z ukraińskiej zmiany frontu wyłącznie rusofile.

Stronnictwo to, równie wrogie Polakom jak Ukraińcy (znana jest smutna i niezaszczytna rola księży „starorusińskich" w dziejach unitów podlaskich), doznawało poparcia „Podolaków" i endecji z powodu swojego konserwatywnego charakteru. Uchodziło ono w tych sferach za „mniejsze zło" od swoich antagonistów. Było to stronnictwo starych księży, ugodowych wobec rządu, sprzeciwiających się zarówno postępowym hasłom, głoszonym przez młodzież, jak i tworzonemu przez nią językowi ukraińskiemu.

Wypadki 1905—6 r., budzące wśród Rusinów nadzieje zasadniczej zmiany stosunków w Rosji i równoczesna prawie (1907) reforma wyborcza do austrjackiego parlamentu, która wzmogła znaczenie Rusinów w państwie, a tym samym zwróciła na nich uwagę nacjonalistycznej części społeczeństwa rosyjskiego—wlały nowe życie w tę partję, stanowiącą już, z powodu braku dopływu młodzieży, zakon na wymarciu.

Stronnictwo „starorusińskie" zaczęło rozwijać bardzo żywą działalność wśród ludu, zatraciło swój konserwatywny charakter przez zakładanie burs, banków ludowych, spółek mleczarskich, odczytów popularnych i t. d., przeciwstawiło Ukraińcom pracę pozytywną, pozyskało ludzi młodych, zapaleńców, którzy z entuzjazmem idą pod chorągwie hr. Bobrińskiego, wierząc, że służą sprawie ruskiego ludu. Obok nacjonalistów i prawicowców działają dziś w partji rusofilskiej zdecydowani radykali, a nawet socjaliści. Łączy ich wspólne przyznawanie się do narodowości rosyjskiej; języka rosyjskiego używają mniej lub więcej udolnie w mowie i piśmie, w języku tym wydają gazety, a ponieważ kościół unicki jest w Galicji główną ostoją i jądrem ukrainizmu, zaczęli propagować prawosławie,

Ułatwiły im tę akcję stosunki panujące w kościele grecko katolickim.

Księża uniccy, licho dotowani i obarczeni liczną rodziną, nie grzeszą naogół ewangieliczną bezinteresownością w stosunku do swoich parafjan, tymbardziej, że już od seminarjum są urabiani nie tyle na duszpasterzy, ile przedewszystkim na agitatorów ukraińskiego stronnictwa. Ponieważ ksiądz wie, że władza kościelna nie wystąpi przeciw niemu w żadnym wypadku, o ile tylko będzie energicznym działaczem ukraińskim, świadczy o unickim duchowieństwie stosunkowo dobrze, że wypadki rażących zdzierstw nie są jeszcze częstsze.

W tę słabą stronę kościoła unickiego uderzyli rusofile zarówno w Galicji, jak i na Węgrzech. Agitacja prawosławna rozpostarła się niezmiernie szybko, tymbardziej, że miała na swoje usługi fanatyków i obfite środki materjalne, czerpane tak z majątku stronnictwa, jak i z zasiłków stowarzyszeń rosyjskich. Metropolita zwątpił snać o siłach duchowych swoich podwładnych, bo przeciw zbłąkanym owieczkom odwołał się natychmiast do „ramienia świeckiego" t. j. do c. k. żandarmerji i prokuratorji. Zaczęły się na prozelitów i ich duszpasterzy sypać szykany i aresztowania, które stanowiły tak dogodną platformę do biadań nad prześladowaniem dla polityków w innym mocarstwie, którzy zwykli w prześladowaniach występować w roli *czynnej.*

W ten sposób powstał proces lwowski. Na ławie oskarżonych zasiedli przywódcy ruchu rusofilskiego w Galicji — dwaj dziennikarze i dwaj popi. Sądziła ich ława polska, złożona przeważnie z inteligencji. Zasiadali w niej ludzie zajmujący odpowiedzialne w społeczeństwie stanowiska. Ława była reprezentantką polskiego społeczeństwa; starostwo i prokuratorja z całym aparatem świadków urzędowych przedstawiały tylko rząd austrjacki. Choć jednak wszyscy zdawali sobie sprawę z wrogiego do Polskości stanowiska oskarżonego stronnictwa, które dziś, w przeciwieństwie do Ukraińców, nie posiada sympatji nietylko żadnego polskiego stronnictwa, ale żadnego polityka, choć Ukraińcy, w państwie wpływowi, poruszali niebo i ziemię aby uzyskać skazanie na śmierć podsądnych (kodeks przewiduje za dążności do oderwania części państwa od całości tylko karę śmierci), mimo zeznań świadków urzędowych—ława *jednogłośnie* zaprzeczyła winie.

Społeczeństwo polskie werdyktem lwowskim potępiło nietylko system prowokacji i prześladowań politycznych, panoszących się obecnie w całej Austrji, ale dało wyraz obrzydzeniu moralnemu, jakie odczuwa do procesów politycznych wogóle; toć samo w takich procesach przed obcym sądem straciło szereg najszlachetniejszych swoich jednostek. Tu nie chodziło o skarbienie sobie niczyich względów i nic tak nie charakteryzuje ideologji, w której wzrósł główny obrońca i wódz oskarżonego stronnictwa, dr. Dudykiewicz, jak podziękowanie, z którym zwrócił się po wyroku do ławy. Nie zrozumiał, że to nie był głos łaski, czy spekulacji politycznej, ale głos sprawiedliwości, w praworządnym społeczeństwie obowiązującej także w stosunku do *wroga.*

M. DĄBROWSKA.

Muzeum w Kaliszu.

Z CYKLU:
«SZLAKIEM PRACY».

W każdym innym kraju, w każdym innym sposobie bytowania założenie prowincjonalnego muzeum byłoby nadewszystko świadectwem względnej zamożności ogółu oraz jego dorośnięcia do pewnego zakresu potrzeb kulturalnych.

U nas jeśli się taka szczęśliwa rzecz zdarzy, to, patrząc na nią, uwielbiamy przedewszystkim ten niezwalczony wysiłek, tę z nas samych mozolnie się dźwigającą *pracę*, która, wbrew najoczywistszej przekorze losu, dzieła wznosi, a co za tym idzie, ambicję ich obrony w sercach muruje.

Kto chce widzieć, jakim krokiem Polska zbliża się do rozstrzygnięcia swych zasadniczych zagadnień, ten niech bada najdrobniejszy objaw polskiej pracy zbiorowej — częstokroć bez szumnych haseł i frazeologji dokonywanej—a przecie najistotniejsze znamiona oporu i samoistności w sobie noszącej.

***

Zważmy na to, czym jest z konieczności gospodarka naszych miast i jak ciasno zamknięta granica działalności stowarzyszeń.

Miasta o wzrastających w nadzwyczajny sposób dochodach nie mogą prawie nic na potrzeby swych mieszkańców wydatkować. Co więcej—nie mogą one swych kapitałów lokować gdzieindziej, niż w Banku Państwa, na względnie nizki procent. Próby uzyskania pozwolenia na lokowanie ich w bankach prywatnych spełzły na niczym, stowarzyszenia zaś prawie żadnej działalności przedsiębrać nie mogą i bywają zamykane „z powodu nieujawnienia żadnej działalności". Pod kątem tego wszystkiego patrząc, ocenimy sprawę założenia Kaliskiego Muzeum należycie.

***

Wiadomo, że nie jest to pierwsze muzeum prowincjonalne. Są w innych miastach może bogatsze i piękniejsze. Czy wszystkie powstawały zabiegiem tak pracowitym? Zapewne.

Muzeum Kaliskie mieści się od kilku tygodni w nowym lokalu w starym pałacowym domu Pułaskich.

Na czarną ceratą obitych drzwiach zewnętrznych niesłychanie lakoniczny zimny napis: „Muzeum".

Resztę, serce, sobie dośpiewaj.

W samej rzeczy, w potocznej mowie nazwa jest bardziej określona.

Muzeum (pięć komnatek) składa się właściwie ze zbiorów trzech towarzystw, które „uciułały" je sobie zabiegliwą skrzętnością lub szczodrą wolą jednostek. Na dobrej woli, na inicjatywie koła dobrych znajomych i na skromnych prywatnych funduszach, stoi całe Muzeum.

Dział pokazów i pomocy szkolnych omawiano w gronie kilku nauczycielek szkół polskich i w stowarzyszeniach kobiecych.

Ideja powstała już w r. 1910-ym — ucieleśniono ją dwa lata temu. Zakładano owo muzeum pomocy i pokazów z sumą 500 rubli, które były połową czystego zysku z Kaliskiej Wystawy pracy Kobiet.

Proszono jakiegoś leśniczego, by ułożył gablotę żuków. — Przychylił się do prośby. Ktoś inny dał rzadkie okazy ptaków wypchanych, — a jeczcze ktoś motyle. — Zakupowano też co się dało. — Dziś sekcja pokazów szkolnych posiada nawet w jednej z gablotek rzadkość i prawdziwe arcydzieło sztuki kolekcjonerskiej: jest to prześliczny zielnik w postaci biblioteki. Zawiera przeszło dwadzieścia tomików w formie ósemki. Każdy tomik wykonany jest całkowicie z pni i łodyg drzew i krzewów które zawiera; grzbiety są z kory — okładki z desek lub nalepianych obok siebie łodyg — we wnętrzu po obu stronach na dnie wylepionym mchem, zasuszone: liście, owoce i kwiaty danego gatunku — dobrze przymocowane maleńkie naczyńka na popiół i nasiona — kawałek węgla danego drzewa i ślicznie wykonane przekroje.

Nadto na wewnętrznej stronie grzbietu podnosi się maleńka dereczka, zakrywająca otwór, w którego wgłębieniu jest kartka z łacińskim opisem rośliny. Jest to nietylko pouczająca botanika poglądowa, ale i dzieło sztuki w swoim rodzaju, — a razem nabytek. Osobliwość tę, znalezioną na strychu swojego domu i mającą pochodzić z przed 40-go roku, podarowali muzeum pp. Karwacińscy.

Działalność pedagogiczna sekcji szkolnej polega na wydawaniu eksponatów szkołom ludowym i średnim — jeśli o pożyczenie ich proszą nauczyciele — oraz na przyjmowaniu wycieczek szkolnych. Szkoły ludowe przyjmowane są bezpłatnie lub za drobną jakąś składką. Muzeum pokazów szkolnych urządziło już kilkanaście pogadanek objaśniających zbiory — rozwijając za każdym razem silną działalność dla przyciągnięcia robotników.

Własna latarnia i własny mikroskop znakomicie ułatwiają pracę tego rodzaju. W projekcie jest włarny kinematograf pokojowy, służący celom pedagogicznym.

Biblioteka naukowa dla czytania na miejscu istnieje w zawiązku.

***

Dział Muzeum Krajoznawczego jest jądrem przyszłego muzeum całej ziemi Kaliskiej — a składa się dotąd prawie wyłącznie z zapisu zmarłego niedawna barona Stanisława Graewe.

Na samym wstępie — z nad drzwi spojrzy na wchodzącego cicha łagodna chora twarz tego hojnego pracownika, który dla uwiecznienia umiłowanej ziemi sieradzkiej trudził się tak bez miary. Naokoło portretu rozwiodły się po ścianach jeden przy drugim te wdzięczne typy sieradzkie Piekarskiego, które znamy tak dobrze z pocztówek. Harde orlikowate głowy chłopaków — dostojne postaci starców, królewskie baby i żądne a spokojne i godne dziewki — dusza ziemi sieradzkiej patrzy ze ścian.

W szafach całkowite stroje z okolic Sieradza — a na stołach — samodziały, wełniaki — i owe niezrównane wycinanki Marynki Ciapówny.

Dział archeologiczny nieuporządkowany jeszcze. Część jego zbiorów należy do Tow. Krajoznawczego — część do archeologicznego.

Można i tam znaleźć rzeczy ciekawe.

Prześliczny jest np. zbiór urn wykopany parę lat temu na polach Majkowa pod samym Kaliszem położonego, gdzie zapewne znajdowało się dawne Kalisza cmentarzysko.

Są też ciekawe autografy i podpisy (między innymi Kościuszki i Stanisława Augusta).

Muzeum otwarte jest w niedziele i święta. Dochód z wchodowego, o ile jest, dzielony bywa między trzy towarzystwa, które muzeum stanowią.

Kraje się tedy jak materji staje.

A raczej czyni się więcej — bo się z nicości — cośkolwiek przecie zrobić usiłuje.

A taki wysiłek świadczy o niezaginięciu w nas samoistnych, z własnego popędu, tworzących zdolności.

J. PAPINI.

Za co mnie kochasz?

Z CYKLU: «TRAGEDJE CODZIENNE».

Więc jest naprawdę ktoś, kto drży, leciuchno pieszcząc moje czoło, lub rękę drobną zanurzając w me włosy? Więc naprawdę twarz czyjaś rumieni się, gdy w głosie mym zadźwięczy mimowiedna tkliwość? Więc istnieje pierś, która płonie i mdleje, gdy się do niej przysuwam i gdy ją przyciskam mocno do swej piersi? Istnieją usta, które ronią żar i słodycz, gdy ich ustami swymi dotknę?

Pomyśl — pomyśl naprzód! Nie odpowiadaj mi natychmiast. Nie mów, że wszystko to jest prawdą, że to wszystko nie jest snem. Nie chciej litować się nademną. Niechaj nikt nie lituje się nademną. Nie chcę, by mnie ktokolwiek pocieszał. Łzy własne mi wystarczą; mam łzy swoje własne; wzbierające z *mojego* serca; płynące z *moich* oczu. Czemu ta dłoń pieszczotliwa kąpie się w płaczu, który moim jest płaczem?

Czyliż jest rzeczą możliwą, aby ktokolwiek chciał podzielić się ze mną mym cierpieniem? Czy jest rzeczą możliwą, aby ktokolwiek czekał na mnie z niecierpliwością, z niepokojem, z tęsknotą w jasnych oczach, dosłuchując się z zatajonym oddechem mych zbliżających się kroków? Czy podobna, aby słowa me najobojętniejsze były pamiętane? Aby jedno spojrzenie me mogło sprawiać radość, jeden uśmiech dawał już nadzieję szczęścia, a jeden ruch — tego szczęścia pewność?

Nie odpowiadaj mi jeszcze. Nie mów, że wszystko to jest możliwe, i że inne jeszcze rzeczy, o których nie wiem, są możliwe. Nie mógłbym ci uwierzyć — nie chcę uwierzyć! Pomyśl więc — pomyśl dobrze! Byłoby to zjawisko tak cudowne, byłoby to czymś tak niepojętym — być może jedynym. Pomyśl tylko przez chwilę, coby to znaczyło, gdyby było prawdą!

Jakaś druga istota, — istota różna ode mnie, przedtym nigdy mi nieznana — żyje dla mnie jednego, myśli moimi myślami, czuje moimi nerwami, dręczy się moją udręką, cieszy się moją radością, owija ciało swe wokół mego ciała, przenika do mej duszy swą duszą, oddaje mi wszystko, co posiada, wszystko co mieć będzie, wszystko co jej ofiarować mogę.

Myślisz, że to może być prawdą, prawdą choćby na mgnienie oka? Pamiętam, że opierałem czoło na jej ramieniu, i ściskałem w dłoni jej wątłe, żyłkowane ręce, i tyle razy całowałem jej usta, i godzinami wsłuchiwałem się w cichutką muzykę jej oddechu, lecz wszystko to czegoż dowodzi? Czy naprawdę ja to byłem we własnej swej osobie, w owych chwilach? I czyż ona naprawdę chciała powiedzieć to, co ja pragnąłem usłyszeć w zaślepieniu ulotnego szczęścia?

Nie uśmiechaj się, nie wstrząsaj głową, nie odpowiadaj ani jednym „tak", zaklinam, wiesz dobrze, iż wszystko to jest tylko zwiewną tkaniną rojeń, dzierganą na krasnach pustoty.

Dlaczegóż miałaby dla mnie być prawdziwą ta rzecz niewiarogodna? Cóżem uczynił, ażeby mieć prawo do otrzymania w darze czyjegoś życia? Kimż jestem, jeśli nie biednym, nieśmiałym poetą, który chowa swe męczarnie tak, jak kobieta skąpa chowa swe klejnoty? Czymże jestem, jeśli nie tułaczem nieszczęsnym, dumnym ze swego długiego płaszcza, ale nie mającym strzechy własnej ani łoża, gdzieby głowę skłonić?

Czyli uczyniłem co wielkiego? Czy powiedziałem jakie słowo, o którym ludzkość zapomniała? Czym zbawił ludzi choćby od jednej jakiej troski?

Gdybyś wiedziała, jak gardzę sobą, jaki rozpaczliwy niesmak czuję względem duszy własnej! Gdy inni widzą we mnie dumę, wyniosłość, zadowolenie z siebie, ja przemyśliwam nad tym, w jakiby sposób życie swe uczynić mniej nędznym, mniej odrażającą uczynić swą duszę. Jedna rzecz tylko napawa mnie niekiedy dumą: ta szczera i głęboka wzgarda, jaką czuję sam dla siebie.

Cóż więc we mnie jest, coby budziło miłość ku mnie? Co znajdujesz w duszy mej niezadowolonej sobą a nędznej, coby dawało mi prawo skazywać duszę twą na cierpienie? Co może cię zajmować wśród moich uciech zapomnianych, śród moich snów powiędłych, śród moich wspomnień, których sam nie śmiem przywoływać?

Nie. To rzecz niemożliwa, aby ktokolwiek mnie kochał. Nie chcę, aby ktokolwiek żył dla mnie. Nie chcę kochać i nie chcę być kochanym. Zostawcie mnie w spokoju. Zostawcie mnie samego. Nie chcę czuć nic więcej, nie chcę nikogo więcej widzieć. Cóż mi przyjdzie z waszych czułostkowych twarzy i z waszych westchnieniami przeplatanych rozmów? Czy nie wiecie, ile w sobie rozkoszy mieści dobrowolna samotność? Jaka słodycz ogarnia duszę, która już nie chce niczego się spodziewać?

Jeszcze tu jesteś? Czyż nie wygnałem ciebie z przed mych oczu? Dlaczego patrzysz

na mnie tak, jakbyś nie pragnęła widzieć na świecie niczego, prócz mych oczu? Dlaczego włosy twe są tak delikatne, a niektóre pasma śród nich zdają się niemal złote? Nie otwieraj ust. Nie oddychaj zbyt mocno. Słodka jest dłoń twoja, wiem. Silna jest ręka twoja, wiem. Ale dlaczego przysuwasz się tak blizko? Czemu ciało twe wstrząsa się nagle? Nie patrz tak na mnie, nie sciskaj tak mocno mej ręki. Wiesz dobrze, że ja cię kocham i, że kochać ciebie nie chcę...

A więc całuj mnie! Nie czujesz, że już oprzeć się tobie nie mogę? Nie przytakuj. Całuj mnie jeszcze! Całuj me oczy. Zamknij je wargami, abym nie widział nic więcej, abym nie myślał o niczym więcej, i czuł tylko twe serce bijące, twe serce gwałtowne, dzikie i szalone, twe serce maleńkie, bijące, i bijące dla mnie.

MIECZYSŁAW LIMANOWSKI.

Z teatru dla Teatru.

Prokurator Hallers Lindau'a. Cóż to znowu?

Historja o prokuratorze, który ze swojego mieszkania wykrada się nocami do bandy rzezimieszków, aby wespół z tą bandą rozbijać i kraść. Nieszczęśnik posiada obok „ja“ do którego wszyscy przywykli, jeszcze drugie „ja“ utajone, które jednym susem strąca tamto w nieświadomość, a samo rozpiera się jako gospodarz wyłączny ciała Hallers'a. Po kilku godzinach tamto „ja“ pogwałcone i zepchnięte wraca do praw, a bandyckie „ja“ znika jak kamfora. Zabawa odbywa się codzień, dopóki lekarzowi nie udaje się wreszcie prokuratorską duszę przyszpilić na stałe do ciała.

Gdyby Lindau był twórcą, byłby nam był przedstawił, w jaki sposób dwie dusze zdołały zamieszkać w jednym i tym samym Hallersie. Byłby on przekrój rozszerzył na fakt dokonany i fakt dokonujący się: całość istotną.

Szekspir, kiedy stworzył Juljusza Cezara, pokazał nam jak Kasyusz magnetyzuje duszę Brutusa. Długo pracował Kasyusz słowami i gestami zanim potrafił wizerunek Cezara w Brutusie przekształcić z dobrego ducha na złego. Historja zabójstwa wielkiego Juljusza, to zapanowanie nowej duszy Brutusowej: nowe „ja“ uzyskało sankcję stanowczego sztychu. Później po latach, w namiocie pod Sardes, duch Cezara opuści Brutusa, zatem owo „ja“ wymagnetyzowane przed Kasyusza. Wyjdzie ono wśród jakiegoś krzyku i napięcia elektrycznego.

To co u Szekspira jest podniesione przez twórczość do świata wielkich zjaw i kombinacji tych zjaw, to u Lindau'a pozostaje w stadjum klinicznej *konstatacji*, podmalowanej groteskowo dla wyrazistości i dobitności. Niemniej jednak konstrukcja Lindau'a jest dziwnie konsekwentną. Nie ma w niej żadnych sprzeczności, żadnych niemożliwości, jest do szpiku kości wyraźną, nie przemyca nigdzie niczego, co może być podejrzanem i niezrozumiałem.

Sztuka *par exellence naturalistyczna* nie ma pretensji do Poezji. Lindau w swoim życiu natrafił na kompleks, przed którym stanął zdumiony:ten kompleks zaobserwowany, *przetransponował* nieco, nie wydobywając go jednak ze sfery surowej, w której go napotkał. Gdyby był umiał interpretować fakt dostrzeżony przez wzrok istotny i głęboki który należy do *sfery manatycznej*, byłby podniósł *fatum*, które dostrzegł, w zespół całkowity, zatem obejmujący początek, środek i koniec, czyli by zorkiestrował go i przeobraził w Sztukę.

Prokuratora Hallersa grał *Kamiński* i to jest cały klucz, który tłumaczy, dlaczego sztuka Lindau'a nagle wzeszła w Warszawie i zaniepokoiła tę Warszawę.

Kamiński grał sobą. Płacił za grę krwią swą własną. Widać było, że przechodzenie z jednego stanu w drugi osiągał wewnętrzną, aby tak powiedzeć, metempsychozą. Był jak fakir, który cuda przed naszemi oczyma umie robić. Kamiński grał bez szminki i wszystkich aktorskich przystawek.

Przyznaję, że oprócz Sady Jakko (której zgon przez anewryzm serca na scenie był szczytem naturalizmu fizyologicznego) nie widziałem jeszcze tak wielkiej gry jak gra Kamińskiego w Małym Teatrze. Dwóch ludzi przedstawić w całej nagości: bez przypraw aktorskiego hokus-pokus, i to na zasadzie wewnętrznie utajonych mocy, których tajemnicę posiada sam Kamiński, oto gra, która musiała wstrząsać widzami. Jedna dusza poruszająca ciało znikała w oczach ludzkich a druga się wydobywała, używając ciała do zupełnie odmiennych przeznaczeń. Nie tylko gesty się zmieniały, głos, ale i *aura*. Przed okiem widza, przy całkowitem świetle lamp, zmiana się odbywała: oczy widza rozszerzały się nie ze zdumienia tylko, ale także ze zgrozy. Kamiński opanowuje swoje ciało: posiada klucz dozwalający mu skurczyć twarz, zmienić w zmarszczki żółte, tę całą twarz postawić nad grobem czegoś co uszło. Powieki czerwienieją, wzrok przygasa... w ciszy, która spada na widownię słyszymy bicie serca, które przemienienie wykonuje. Nie efekty dobrane prowadzą Kamińskiego do zmiany, ale moc panowania nad sobą, jakaś podziemna wiedza dynamiki swego własnego ciała, którem rozporządza do woli w jakiejś wprost obłędnej skali. Siła witalna pokonująca materję jest tu bezprzykładną: widać jak ta siła zaprzęga ciało na usługi z góry postanowione: cząsteczki fizyczne grupują się wprost inaczej; widać, że dusza inna w tej chwili jest siłą, która rozlewa się z dna tajemniczego i sprzęga dawną formę na nowy, choć podobny zespół fizyczny. Trzeba powtórzyć: Kamiński włada siłą witalną tak potężnie (Linga Sharîra indyjskiej wiedzy), że umie rzeźbić ze swego ciała jak w glinie plastycznej skrajne formy zjaw, które pragnie podawać. Nie sugestjonuje widza, podaje zmiany, aby tak powiedzieć, wprost namacalne.

Ale nie tylko wirtuozostwo Kamińskiego jest zdumiewające. Reżyserja sztuki, którą ilustruje, jest dziełem jego wysokiego artyzmu. Nigdzie kabotyństwa, nigdzie tandety, nigdzie podejrzanego misz-masz, nigdzie szwów grote-

skowych, surowych. Wszystko jest stonowane jak gra którą podaje, wszystko ma jednolitą, harmonijną barwę, zdumiewającą czystość linji i konturów. Kamiński po przez swoją grę nadaje interpretację i sztukę odpowiednio przekształca, podkreślając zamierzenia o które mu chodzi. Nie jest on medjum Lindau'a; widać że tworzy na kanwie podanej przez Lindau'a; zużywa prokuratora Hallersa jako materjału do indywidualnej konstrukcji. W prokuratorze Hallersie Małego Teatru nie było Lindau'a, był tylko Kamiński... Tak jak umiał w siebie w prowadzać obcą duszę, tak umiał w sztukę Lindau'a w prowadzać nowe życie, dalekie od karykatury życia. Na scenie pulsowało zatem życie; zapominaliśmy dosłownie, że jesteśmy w Teatrze Małym. Rozwijał się jakiś przekrój potworny, którego początku nie śmiano podać. Wstawka, której brakowało, ów akt stworzenia tajemnicy dwóch dusz rósła w Tajemnicę, której lepiej nie dotykać. Czuliśmy że należy ona do natury; gdzieś w rodzicach prokuratora, przez kombinację tak dziwną jak Tajemnica Józefa biblijnego (filjacje począwszy od Abrahama) wstała, przez „wymagnetyzowanie" umiejące żerować i zagryzać medjum podstawowe.

Jesteśmy przyzwyczajeni do pewnych poglądów na Sztukę i twórczość. W obliczu Kamińskiego rozwiewają się te poglądy. Kamiński jest problemem w Teatrze, głębokim problemem, którego linje zdają się być dalekie od dróg wytyczanych. Jego Sztuki jednak nie można odtrącić... Fascynuje ona, otwiera człowiekowi oczy na przepaści, wzrusza. Gra Kamińskiego wstrząsa sercem... nasuwa widnokręgi nowe i przez wzruszenie prowadzi do katarsis. Ludziom pokazują się łzy w oczach... W ręku Kamińskiego Sztuka zamienia się w taką samą rozmowę jaką jest rozmowa Hjoba lub Konrada z Bogiem. Że na innej platformie rozwija się ta Sztuka, dowodzi tylko, że jak bezkresnym jest świat, tak i bezkresną jest Sztuka.

Sztuka Kamińskiego, gra jego, jest światem w sobie, który ma takie samo prawo Bytu jak Sztuka i gra Frenkla lub Wysockiej.

Aktorowie polscy powinni jednak za jedną rzecz skłonić głowę przed Kamińskim: jest on artystą do szpiku kości, arystokratą czystej i precyzyjnej formy. Czystość gry, czystość reżyserji są u niego bezprzykładne: wzorem niedościgłym. Polscy aktorowie nie mogą naśladować jego gry, bo ta gra jest jego osobistą indywidualnością, najdelikatniejszą epidermą własnej epidermy. Ale to co naśladować powinni, to *rzetelność i miłość dla Sztuki*, która u Kamińskiego nie leży na ustach i w zamierzeniach, ale na dnie gry i interpretacji tej gry przez zespoły.

Prenumerata PRAWDY wraz z bezpłatnym dodatkiem w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb 8, z odn. do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i soboty od 1-ej do 2-ej. Rękopisów nie odsyła się.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Ogłoszenia po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy (strona zawiera 4 szpalty).

Redaktor: **Wincenty Rzymowski.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk L. Bogusławskiego, Warszawa, S-tokrzyska 11.